



Mirosław Derecki
LONDYŃSKIE SPOTKANIA:
HUBALCZYK Z SHEFFIELD
(TROPem LUDZI MAJORA HUBAŁA)

Pewnego dnia na mój londyński adres przyszedł list następującej treści:

Sheffield, 17.VIII.69 r.

Szanowny Panie!

List z Pana z II b. miesiąca otrzymałem, za który serdecznie dziękuję. 30 sierpnia w sobotę przyjdę do Londynu by spotkać się z Panem. Od czasu do czasu docierają do mnie różne artykuły z prasy krajowej o Oddziale mjr. Hubala. Czytam je zawsze bardzo dokładnie i z dużym wzruszeniem – bo każdy z tych artykułów jest jednym z rozdziałów wyjętych z mego życia.

Wątpię bym mógł coś nowego dodać do tego, co już zostało napisane. Łudzę się jednak, że może wspólnie z Panem uda nam się odnaleźć chociaż część naszych oddziałowych pamiątek i rozkazów dziennych oddziału. Były one regularnie pisane i co kilka tygodni przekazywane na przechowanie różnym „pewnym i zaufanym” ludziom.

Odnalezienie części tych rozkazów i pamiątek wniosłoby dużo światła na sprawę istnienia naszego Oddziału i jego celów.

Łącząc serdeczny ucisk dłoni pozostaję z poważaniem.

R. Rodziewicz.

Czekałem na to spotkanie prawie rok, od czasu, gdy zacząłem się interesować losami żołnierzy oddziału majora Hubala i od chwili, gdy dowiedziałem się, że jedna z najbarwniejszych postaci tego oddziału, wachmistrz Romuald Rodziewicz, żyje na emigracji w Anglii.

Teraz, gdy już byłem w Londynie, jego list poruszył mnie szczególnie. Nie ze względu na passus, dotyczący ukrytych w Polsce dokumentów oddziału. Wiedziałem dobrze, że gdyby takie jeszcze istniały, już dawno by je ujawniono, tak jak się to stało z licznymi zdjęciami i odezwami Hubalczyków. Chodziło o coś innego. Forma listu świadczyła, że Rodziewicz,

mimo iż swego czasu wybrał drogę w przeciwnym od Polski kierunku, choć prawie nie utrzymywał korespondencji z dawnymi przyjaciółmi w Polsce - nie zasklepił się w swoim „emigranckim losie”. To świadczyło, że nasza rozmowa będzie szczerą.

Rodziewicz mógł wyjaśnić wiele niedokładności w historii oddziału majora Hubala. Jest on wszak, obok żyjącego w Polsce Józefa Alickiego, jedynym żołnierzem, który był przy Hubalu od momentu powstania oddziału aż do śmierci dowódcy. Należał do ludzi najbardziej zaufanych, najbardziej bliskich majorowi.

W małym pokoiku na Actonie, w zachodnim Londynie, przegadaliśmy dwa dni. To czego dowiedziałem się podczas tej długiej rozmowy, przekazuje poniżej.

Na pograniczu byłych województw - wileńskiego i nowogródzkiego, nad rzeką Berezynką, w miejscowości Ławski Bród, siedziała z dawna na niewielkim folwarczku rodzina Rodziewiczów. Pochodzili z polskich Tatarów, swego czasu uszlachetnili, pieczętowali się herbem Tarnawa z łukiem, strzałą i buńczukiem. Klasowo - szlachta zaściankowa - tkwili zawieszani w pół drogi między stanem szlacheckim a chłopstwem. Romualda Rodziewicza wychował stryj Leon, dzielący swój żywot pomiędzy gospodarowaniem na folwarku a posesją leśniczego, która to posesja pozwalała mu utrzymać pozycję „obywatela ziemskiego”. Rodzice Romualda zmarli w dalekiej Mandżurii, gdy był jeszcze dzieckiem. W ostatnich latach, poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej, Rodziewicz odbył swój pierwszy staż wojskowy w 3 Pułku Szwoleżerów w Suwałkach, potem zaczął przygotowywać się do zawodu rolnika. Był na praktyce u jednego z braci matki, który prowadził wielkie gospodarstwo hodowlane.

Nadeszło lato 1939 r. Na początku lipca Romuald Rodziewicz został powołany na sześciotygodniowe ćwiczenia do 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie. Tuż przed bramą koszar natknął się na wysokiego, szczupłego cywila o pociągłej twarzy, ubranego z wiejska. On również, jak Rodziewicz, posiadał stopień kaprała i także wezwano go na ćwiczenia. Nazywał się Józef Alicki, był synem chłopca z Białostoczczyzny. Przypadkowa znajomość szybko przekształciła się w przyjaźń. Przypadli sobie do gustu. Być może właśnie dlatego, że tak bardzo różnili się i wyglądem zewnętrznym i charakterami. Rodziewicz był szeroki w barach, silny niezwykle, a z natury narwany, popędliwy: Alicki - rozważny, chłodny, kalkulator. Co wcale nie oznacza, że nie posiadał, jak jago przyjaciel, młodojeckiej fantazji. Dał zresztą później liczne tego dowody.

27 lipca, w dniu święta pułkowego, obydwaj otrzymali awanse na plutonowych. Przynęśli sobie wówczas, że gdyby wybuchła wojna, będą trzymać się razem. Na razie jednak, mimo napiętej sytuacji politycznej, panował pokój. W sierpniu ćwiczenia się skończyły, a rezerwistów rozpuszczono do domów. Alicki i Rodziewicz pożegnali się.

Nagły rozkaz mobilizacji zastał Rodziewicza w rodzinnym Ławskim Brodzie. Miał niezwłocznie stawić się w koszarach w Wołkowysku. Tam formowano część 104 pułku ułanów. Do Polski wkroczyli Niemcy.

W ogólnym rozgardiaszu, w atmosferze napięcia i nerwowości, Romuald Rodziewicz przeżył przecież przyjemny moment: w pół godziny po nim w koszarach zameldował się... Józef Alicki. Obaj otrzymali przydział do plutonu łączności.

Z Wołkowyska w składzie szwadronu zapasowego pułku, wychodzą w stronę wsi Jażwa, a główne siły pułku, wraz z innymi oddziałami Wileńskiej Brygady Kawalerii, dążą na Kielecczyznę. Na Kielecczyźnie znajdują się i Alicki z Rodziewiczem, ale znacznie później i w zupełnie innych okolicznościach...

Oddział szybkimi pochodami ciągnie w kierunku Białegostoku, gdy nagle dogania ich rozkaz, by cofali się na Wilno, a wkrótce potem następny, żeby szli do Grodna. Po drodze, nocą, mijają miasteczko Ostryń. Z naprzeciwka, główną ulicą, cwałuje grupa jeźdźców. Na ich czele - z harapem w dłoni - oficer z dystynkcjami majora. To Henryk Dobrzański, znany jeździec, reprezentant Polski na wielu zawodach hippicznych, oficer 4 pułku ułanów. Skąd się tutaj wziął - nie wiadomo. Powinien teraz z głównymi siłami pułku być na Kielecczyźnie. Rodziewicz nie wie, że w ostatniej chwili Dobrzański został odkomenderowany na zastępcę dowódcy w formowanym naprędce 110 pułku ułanów.

Grupa jeźdźców znika w głębi ulicy. To tylko przypadkowe, przelotne spotkanie. Ale przypadek też sprawi, że wkrótce spotkają się znowu. Na długie miesiące.

Pod Grodnem oddział zostaje włączony w skład tworzącego się pod dowództwem majora Florkowskiego 102 pułku ułanów. Wraz ze 110 i 101 p. uł. oraz 103 pułkiem szwoleżerów ma on tworzyć Rezerwową Brygadę Kawalerii.

Brygada nigdy nie weszła do walki. Kampania wrześniowa przeradza się w klęskę polskich wojsk. Także na rubieżach kraju panuje zamieszanie. 102 pułk ułanów rusza ku granicy litewskiej, aby tam rozbroić się i szukać schronienia na Litwie 110 pułk ciągnie w głąb Polski, ku broniącej się Warszawie...

Na granicy Alicki i Rodziewicz podejmują decyzję: będą walczyć nadal, wracając z powrotem. Major Florkowski nie sprzeciwia się. Daje im najlepsze konie i rynsztunek wojenny. Dołączają inni: rotmistrz Stanisław Sołtykiewicz z 2 p. ul., porucznik Feliks Karpiński, podporucznik Modest Iljin, podchorążowie Leon Gołko i Jan Wyszomirski oraz jakiś przyplątany do pułku podporucznik policji.

Porucznik Karpiński, najstarszy, najbardziej doświadczony, radzi dotrzeć do 110 pułku ułanów. To, że dowodzi nim stary wyga kawaleryjski, słynny zagończyk, podpułkownik Jerzy Dąbrowski, rokuje jak najlepsze nadzieje. Pod jego komendą na pewno włączą się do walki.

Dążąc śladami pułku, przepytując po wsiach i leśniczówkach, dochodzą wreszcie Dąbrowskiego pod miejscowością Giby. Ale w okolicach Łomży, w miejscowości Janów,

ppłk Dąbrowski daje za wygraną. Zarządza odprawę, na której informuje oficerów, że rozwiązuje pułk, nie widząc możliwości dalszej walki. I wówczas na scenie pojawia się „rebeliant”. Major Henryk Dobrzański odmawia wykonania rozkazu. Oświadcza, że on przejmuje dowództwo i - choć wszystkie drogi są już zablokowane przez nieprzyjaciela - doprowadzi żołnierzy do celu. Jest noc z 23 na 24 września. Rankiem, w 160 koni, major rusza ku Warszawie.

Wśród tych, którzy zdecydowali się na dalszy marsz, jest prawie cała grupa spod granicy litewskiej. Już zakosztowali „partyzantki”. To oni właśnie staną się wkrótce jądrem Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego majora Hubala. Alicki i Rodziewicz pozostaną przy majorze aż do jego śmierci i oni przetrwają aż do rozwiązania oddziału - 25 czerwca 1940 r.

Gdy już byli prawie u celu, Warszawa padła. Major prowadzi ich teraz na południe (zostało tylko siedemdziesięciu) z zamiarem przebiccia się na Węgry. Już jednak na Kielecczyźnie zmienia decyzję: zostanie w Polsce, będzie czekał na wiosenną ofensywę francuską. Spróbuje wtedy stworzyć „drugi front”.

Ale niewielu jest tego samego zdania. Gdy w połowie października oddział przybywa do leśniczówki Zychy pod Padoszycami, major ma pod swą komendą tylko dziesięciu ludzi. I to jest początek epopei Oddziału Wydzielonego. Trzymając się uparcie nazwy wojska regularnego, przekształcają się, chcąc nie chcąc, w pierwszy w dziejach tej wojny regularny oddział partyzancki. Nie zrzucają mundurów, ale przyjmują pseudonimy. Nie ma już Dobrzańskiego, jest - „Hubal”. Z oddziału znikł plutonowy Rodziewicz, jest „Tarnawa”. To zresztą pseudonim oficjalny. Dla towarzyszy broni, dla okolicznej ludności, Romuald Rodziewicz stał się po prostu „Romanem”.

Alicki i Rodziewicz tworzą w oddziale zgraną parę. Razem walczą, razem awansują na wachmistrzów. Jeden skoczyłby w ogień za drugiego, ale z czasem odmienne predyspozycje psychiczne kierują ich do różnych zadań. Alicki będzie się między innymi zajmował wywiadem, a w marcu 1940 r. zostanie dowódcą kawalerii oddziału. „Roman” ze swą szeroką, chwilami dzika naturą, bardziej nadaje się do chodzenia w pojedynkę, lub na czele niewielkich patroli. W walce Allecki zadziwia zimną krwią i opanowaniem. Rodziewicz - szaleńczą brawurą i... kolosalnym szczęściem, pozwalającym mu wyjść cało z licznych tarapatów. Wyrobią się na znakomitego zagończyka.

Gdy od niego wymagają, potrafi bez zmrżenia oka wykonać najbardziej okrutny rozkaz. To najczęściej on, w przemyślny sposób, dochodzi, a następnie likwiduje zdrajców i szpiegów. To zwykle on wykonuje słynną, aplikowaną przez Hubala wobec opornych i sprzedawczyków karę: „dwadzieścia pięć na gołą dupę i trzy razy w mordę”. Być może. chwilami odzywają się w „Romanie” ślady tatarskiej krwi. Tym się jednak różni Rodziewicz

od słynnego w oddziale kaprała Lisa, że owe egzekucje nie sprawiają mu przyjemności. Po prostu - rozkaz to rozkaz.

Po klęsce oddziału, podczas postoju resztek hubalowskiej konnicy w leśniczówce pod Wągrowcem, Rodziewicz omal nie zostaje zamieszany w paskudną historię. Major, w porywie wściekłości, każe mu rozstrzelać porucznika „Czarnego” z kieleckiego obwodu ZWZ, który przyniósł rozkaz grożący sądem polowym. Jeśli Hubal nie rozwiąże oddziału. Na szczęście sprawa zostaje załagodzona, a... jej epilog rozegra się dopiero w kilka lat później, w Oświęcimiu.

Po rozwiązaniu oddziału w czerwcu 1940 r. „Roman” ukrywa się przez pewien czas w miechowskim, pozostając do dyspozycji ZWZ. Po napaści hitlerowskiej na ZSRR zostaje skierowany do wywiadu wojskowego. Odbywa przeszkolenie w Warszawie, wyrusza na tyły wroga, na Wileńszczyznę i dalej. Wokoło pracują dawni koledzy z oddziału Hubala: „Sep”, Marek Szymański, jest szyfrantem w Wilnie, Alicki jeździ jako kurier pomiędzy Wilnem a Warszawą.

Rodziewicz obejmuje placówką wywiadowczą w Mińsku i w Mołodecznie. Daje sobie radę doskonale. Zna teren, ma tutaj, w rodzinnych stronach, szerokie kontakty, w Mołodecznie - mnóstwo kolegów jeszcze z czasów, gdy uczęszczał tu do gimnazjum.

Latem 1942 r., na Odcinku Północ wywiadu ZWZ, następuje wielka wsypa. Wprawdzie wszystkim byłym Hubalczykom udaje się szczęśliwie uniknąć aresztowań, ale są od tej chwili spaleni. Dla Komendy Głównej - nie istnieją.

Ostrożność nakazywała, by teraz przycząić się na folwarku w Ławskim Brodzie, gdzie zresztą brak rąk do pracy i starzejący się stryj nie może dać sobie rady z gospodarstwem. Ale takie życie - nie dla „Romana”! Zaczyna wprawdzie siał i orać, lecz jednocześnie wstępuje do miejscowej komórki ZWZ.

I właśnie tam, w zapadłym kącie Wileńszczyzny, w najbardziej zacisznym - jak mawiał stryj - miejscu za piecem Pana Boga, Rodziewicza opuszcza jego przysłowiowe już szczęście. Zostaje aresztowany w domu przez gestapo. Sprawa jest o tyle dziwna, że Niemcy właściwie nie posiadają przeciw niemu żadnych dowodów. Rewizja omija skrytkę za obrazem, gdzie znajdują się kompromitujące dokumenty. Nikt nie pyta „Romana” ani o sprawy oddziału Hubala, ani o wywiad ZWZ. Dopiero podczas pierwszego badania wyjaśnia się, że chodziło zupełnie o kogo innego - o Szczepana Rodziewicza, brata Romualda. „Roman” nie może się zdobyć na zasypanie jednego z najbliższych mu ludzi. Gdy uparcie odmawia podania miejsca pobytu Szczepana, zostaje okrutnie pobity i - na wszelki wypadek - wciągnięty w krąg osób podejrzanych.

Podczas jednego z przesłuchań Rodziewicz staje wobec sytuacji, jaka pasowałaby jak ulał do jego hubalowych czasów. Przesłuchanie odbywa się na parterze. W pokoju jest tylko dwóch gestapowców. Okno otwarte szeroko. Na podwórzu, pod oknem, stoi osiodłany koń.

Na parapecie - kilka granatów. W kącie - pistolety maszynowe. „Roman” błyskawicznie ocenia sytuację: istnieją duże szanse na zlikwidowanie Niemców i ucieczkę. Powinno się udać. Wychodził nie z takich opresji...

Ale nie czyni nic. Jest już o kilka lat starszy i zna Niemców. Wie, że gdyby uciekł, zemściliby się na całej rodzinie Rodziewiczów.

Niemcy stosują coraz bardziej wyszukane metody badania, a on żyje w ciągłym strachu, że prędzej czy później nie wytrzyma i zacznie sypać. Panicznie boi się tortur. Właśnie dlatego, że jest silny i odważny w boju, a tu nie może odpowiedzieć uderzeniem na uderzenie. Postanawia popełnić samobójstwo. W celi wołyńskiego więzienia, ciemnej i wypełnionej po kostki wodą znajduje duży, zardzewiały gwóźdź. Całymi dniami ostrzy go na kamiennej posadzce, aż koniec staje się ostry jak szpilka. Wtedy przystawia gwóźdź do skroni i z całą siłą wali weń cegłą. W ciemności nie trafia i w rezultacie... nabija sobie ogromnego guza na ciemieniu. Natychmiast Przechodzi mu ochota na dalsze próby...

Tymczasem Niemcy jakby dali za wygraną. W 1943 r. Rodziewicz zostaje przeniesiony do obozu koncentracyjnego w Mińsku a stamtąd prosto do... Oświęcimia. Na kilka lat staje się numerem 165 642.

Nie przeżyłby Oświęcimia, gdyby nie zupełnie niesamowity zbieg okoliczności. Któregoś dnia jeden z tzw. „starszych” więźniów zaczął mu się bacznie przypatrywać, a następnie zapytał: „Czy ty przypadkiem nie byłeś u Hubala?” „Tak” - odparł „Roman”. „A przypominasz sobie może incydent z porucznikiem „Czarnym”, którego chcieliście pod Wągrowcem rozwalić? To byłem właśnie ja. Poznałem cię od razu. W takich momentach jak tamten, gdy człowiek stoi o krok od śmierci, twarze zapamiętuje się na całe życie”.

Dopiero teraz Rodziewicz dowiedział się nazwiska porucznika „Czarnego”. Nazywał się Jan Dmochowski. Dzięki niemu trafił do mniej wyniszczającej pracy, przetrwał. Dmochowski nie żywił urazy. Rozumiał wybuch Hubala.

Tak wyglądał epilog sprawy, która miała początek u progu okupacji w zagubionej leśnej chatce na Kielecczyźnie.

W październiku 1944 r. Rodziewicz został wywieziony do Buchenwaldu, a po miesiącu przydzielono go do wielkiej, 500-osobowej grupy więźniów, reperujących tory kolejowe. „Buza”, z której robocze brygady wyruszały w różnych kierunkach, mieściła się w Saltzburgu. Tam przyszło wyzwolenie. 4 maja 1945 r. do Saltzburga wjechały czołgi amerykańskie.

W Murnau Rodziewicz spotyka znajomego polskiego oficera, który namawia go, żeby nie wracał do kraju, lecz wstąpił do wojska polskiego stacjonującego we Włoszech, W czerwcu 1945 r. „Roman” jest już żołnierzem 66 batalionu piechoty pancernej, wchodzącego w skład 16 Pomorskiej Brygady Pancernej.

Właśnie wtedy, z dala od ojczyzny, rozbrzmiewa dla wachmistrza Romualda Rodziewicza ostatni mocny akord historii oddziału majora Hubala. Jesienią 1945 r. przypadkowo znajduje się w siedzibie ambasadora Pappée w Watykanie. W rozmowie z ochmistrzynią wspomina, że służył swego czasu na Kielecczyźnie, pod Hubolem. Na twarzy rozmówczynie pojawia się nagle wyraz niezwykłego wzruszenia, kobieta podrywa się z miejsca i szybko rusza w głąb domu. Po chwili proszą Rodziewicza do apartamentów ambasadorowej. To... rodzona siostra Henryka Dobrzańskiego! „Romuald” jest pierwszym naocznym świadkiem śmierci majora Hubala...

Na pamiątkę tego smutnego spotkania Rodziewicz otrzymał wówczas od pani Pappée kilka zachowanych przez nią zdjęć majora z dedykacją: „Podkomendnemu mego s.p. Brata, Romkowi Rodziewiczowi L. P.”

Wkrótce poprzez tę znajomość doszło do spotkania z Melchiorem Wańkowiczem. To w znacznej mierze na podstawie wspomnień „Romana” powstała książka „Hubalczycy”.

Dalsze losy wachmistrza Rodziewicza, którego dziś jeszcze wspominają chłopci na Kielecczyźnie, nie były zbyt różowe. Uwierzył, że lepiej na razie zostać na Zachodzie. Zdemobilizował się już w Anglii. Ożenił się z Angielką, ma dwoje dzieci. Nie posiadał żadnego zawodu, więc w pierwszych latach pracował ciężko jako prosty robotnik w hucie. Kosztowało go wiele wyrzeczeń zanim zdobył swoją obecną specjalność. Mówi, że żałuje, iż nie wrócił po wojnie do kraju. Twierdzi, że i tak - wróci.

Umówiłem się z Rodziewiczem, że następnym razem spotkamy się już w Polsce. Wówczas pojedziemy przez Kielecczyznę szlakiem oddziału majora Hubala. „Roman” chciałby, żeby z nami pojechał także Alicki.

Jak wypadnie konfrontacja dawnej przyjaźni, po trzydziestu latach? Co będą sobie mieli do powiedzenia syn białostockiego chłopca, który jak ojciec, gospodaruje dzisiaj na roli i potomek uszlachconych polskich Tatarów, który stoi przy tokarni w dalekim, robotniczym Sheffield?